Lwów, 20. Marca. Nr 33. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każdorazwe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

Z PAMIĘTNIKA

LEGITYMUJĄCEGO SIĘ SZLACHCICA.

Przed laty dziesięcią, papiery moje wywodowe były w najopłakańszym stanie. Poczciwy mój dziadunio, świeć Panie jego duszy! Kasper Baltazar, dwojga imion Szlachciński, herbu Prawdzic, kiedy kazano przedstawić szlachcie dowody rodowitości swoich, zamydlił oczy wołyńskiemu deputackiemu zgromadzeniu jednem, jedniuteńkiem świadectwem dwunastu obywateli, którzy przyznali: iż pan Kasper-Baltazar był szlachcicem z dawien dawna; że on i jego przodkowie prowadzili żywot szlachecki; że piastowali urzędy właściwe szlachcie; że żenili się przez kilka pokoleń z szlachciankami; że bawili się rycerskiem rzemiosłem i t. d. i t. d. Słowem, napakowawszy w owo świadectwo mnóstwo takich i tym podobnych ogólników bez dat, imion i nazwisk, i co najprędzej dobrawszy się do końca, zrobili długi ogon z podpisów, między któremi figurowały prawdziwe figury jak na rozdrożu, bo cztery krzyżyki niepiśmiennych jakichś patrycyuszów, a każdy familijny ogonek przypieczętował herbową pieczątką, jak by dla pewności, ażeby nie mógł zemknąć z opisanego takim sposobem półarkusza. Taki oto dokument, kamień węgielny naszego szlacheckiego rodu, zachlapany funtem laku i upstrzony mnóstwem kruczków podpisowych, wręczyli mojemu dziaduniowi.

Kiedy to piszę, mam przed sobą ów drogocenny arkusz, patrzę nań i napatrzeć się niemogę... Kropelki jak z esencyi tabacznej, i drugie bledsze, niby od maślaczu (a może to łzy rozczulenia?) zalegają całkiem facyatę arkusza, a litery każdego podpisu zdają się przeobrażać w kontuszowe i wąsate postacie, różnego stroju i miny, jak te, które porysował Zaleski do Paska, albo Chodźko w swych Litewskich Obrazach. I widzę jak oto napełnia się stała kwatera dziadunia u Aronka przy Wilskiej ulicy w Żytomierzu, jak uszczęśliwiony dziadunio poi szlachtę i sam nie pozostaje w tyle; jak się obejmują, ściskają, całują, brzęczą karabelami, poprawiają pasów, pokręcają wąsy; i jak ten oto sam arkusz, duma dziadunia, kolosalne dzieło zgromadzonego ciała, leży na wznak na stoliku pomiędzy butelkami węgrzyna, a przy nim laseczka laku, co przekazała potomności wraz z herbami kilkadziesiąt bębnów i całą kolekcyą buńczuków, kul i sztandarów; i żydowski kałamarzyk z brudnem piórkiem, które wyśliniło tyle znakomitych imion!

Najpierwszy podpis był pana Mateusza Brzechwy, prezesa Izby Cywilnej, zakręcony u spodu, napisany w prawną ręką ale niedbale, nakształt podpisu Stefana Czarnieckiego, czarniejszym atramentem i innem piórem. Jakże tu nie poznać, iż dziadunio sam musiał jeździć do niego i prosić o przyozdobienie świadectwa tym podpisem? A ztąd, iż musiał to być pan, którego dziadunio poważał, od którego może miał possesyjkę zastawną, któremu prezentował się ile razy zjeżdżał do Żytomierza i przedstawiał mojego ojca, który jeczcze natenczas był w irfimie (i niemarzył zapewne, iż sam kiedyś zostanie ojcem) w nowym kontusiku, każąc mu z uszanowaniem całować rękę pana prezesa. Dalej szedł podpis pana Statucińskiego, adwokata przysięgłego przy sąd. grodz., napisany drobiuteńko, równo, niby sznureczek napięty od tyczki do tyczki i dopiero na końcu pokręcony w esy floresy, jakbyto reszta tego sznureczka, zbywająca od węzła, sama się tak splątała misternie. Wyraźnie stoi mi w oczach pan Statuciński; wysoki, chudy, czarny, małomowny, uśmiechający się i kłaniający sędziom, pocierający czuba przed pryncypałem, gryzący statut jak rzepę, cytujący daty konstytucyi, uchodzący u mego dziadunia za najrozumniejszego człowieka — w Żytomierzu. Za nim wali się pan Pafnucy Wichromłyński, herbu Pstrokoń, towarzysz pancerny, sztuka wojskowa, z wąsem ostrym do góry, szerpetyną u boku, s szramem na czole i przysłowiem „Ostrubie panie!" Dogrobowy druh dziadunia, rezonujący dużo, robiący mało, punktualny gość wszelakich hulanek, a któremu oto zdarzyła się szczęśliwa zręczność wyświadczenia olbrzymiej przysługi dziaduniowi, dołączeniem swojego podpisu. Rad więc iż wywiązał się z długu przyjaźni, rozprawia głośno, śmieje się i trzęsie ręką, jaka mu tylko wpadnie w pięść żylastą. Jego podpis cały ułożony z liter czubiastych, stojących, dużych jak fasole; pióro widać trzeszczało pod palcami i rozdarło się w końcu, atrament przebił na drugą stronę, i przy ostatnim skręcie spuścił żyda. Wnet za nim, rzucony ukośnie z boku, bez wykrętasów i tytułów, przypieczętowany małą pieczątką, zdaje

się być przy niej ogonkiem czerwonego latawca. Jak nie poznać pana Pszyka, którego tytułowano cześnikiem, który chodził po possesyach w Owruckiem, nosił płócienny żupan, nie pił żadnych trunków, i będąc w towarzystwie milczał zawsze. Dalej idzie podpis pana Horhorhorowicza Barnaby, podsędka ziemskiego, i coś dalej czego wyczytać trudno. Litery tu rozsypały się jak obwarzanki na podłodze: żadna z nich nie łączy się z drugą, stoją bokiem, ukośnie, prosto, wyżej i niżej wiersza, i wykrętas przy końcu zerwany w połowie. Figura ta otyła, ponsowa, cięży mu chustka na szyi, ciśnie żupan pod pachą, okulary nie do oczu. Sąsiadto dziadunia, gderliwy, sapiący, wiecznie narzekający na gospodarkę, na wydatki; gorąco mu, znowu zimno bywa razem, odwiedza sąsiadów często, w kościele bywa każdej niedzieli, a zawsze czegoś się boi, ogląda się po za siebie, chodzi prędko i narzeka na złe czasy. Następnie czytam: Józef Dobroduski, stolnik, herbu Ślepowron.« Ten poczciwy Polak patrzy, zdaje się, na mnie ładnemi błękitnemi oczami z pod brwi białych i spokojnego czoła. Bóg go obdarzył małym mająteczkiem i pięcią córkami jak łanie. Gości tam huk zawsze: kręci się młodzież, zaleca, ale nie śle swatów! Stara jejmość narzeka na wydatki, na liczną czeladkę, a stary powtarza jej: Bóg łaskaw moja Małgosiu! nie opuści nas; i mająteczek nie zginie, i córki powydajem za mąż... jakoś to będzie! Charakter tu czytelny, litery postawione ukośnie, zgrabnie. A po kilku jeszcze podpisach, na samym końcu, przy familiach: Gąsiorowskich, Kogucińskich, stoją w kółkach krzyże, kreślone palcami grubemi, dłonią co naciskała pługi. Są to skazówki niezgrabne, ale widome i proste jak zapewne ich serca.

Złapawszy taki dokument, dziadunio mój przedstawił go do szlacheckiego deputackiego zgromadzenia, i za kilkadziesiąt złotych dostał ogromny kawał pargaminu z pieczęcią i podpisami gubernatorskiemi i dwunastu deputatów którzy go zatwierdzili w szlachectwie. Nie podaje mi kronika domowa, czy chwalił się tem nabyciem przed moją babką, ale musiał się chwalić, gdyż pargamin ów, obwinięty starannie w arkusz tabeli pańszczyźnianej, chowany był odtąd w kufrze babki, gdzie była złożona ślubna suknia mojej matki, i prawie w takim stanie doczekał się moich już czasów.

Rodzice odumarli mię młodo, zostawując bez żadnego funduszu. Daleki krewny mojej matki, bogaty ale skąpy, zajął się mojem wychowaniem, to jest oddał mię do szkół. Lata więc domowego życia, pieszczot matki, te najpiękniejsze lata, z których pamiętają się i wesołe święta, i ogródek bzowy, i łakocie domowe, wszystko to nie było mi znane! Rosłem w mieście z książką w ręku, marząc tylko czasem o wiejskiem życiu, z którego pamiętałem jak przez sen domek i lewady mojego ojca.

Ale ze wstąpieniem do uniwersytetu nauki mię zajęły zupełnie. Świat jakiś nowy, nieznany, im dalej tem piękniejszy, rozwinął się przedemną i rozkrywał swe piśmienne skarby, które mi mój biedny pokoik, oświecony jednem oknem i jedną łojową świecą, zaludniały pierwszemi geniuszami ziemi. O północy, gdy miasto spało, często z Sokratesem, Platonem, Demostenesem i Liwiuszem prowadziłem biesiadę o dawnych ich czasach, prawdach i cnotach; i zdawało mi się nieraz, jak ci sławni mężowie w lauro wych wieńcach na czole, w długich szatach, z otwartem obliczem, chodzili po mojej izdebce, siadali na mojem krzesełku, kładli swe prawice na mojem ramieniu, i rozmawiali ze mną, a każde ich słowo głękoko zapadło w mą duszę, i jak podnoszona zasłona, ukazywało nowe coraz obrazy. Hej hej! o święty! o złoty czasie! gdzie dziś ta wiara i pogoda? ten zapał i te chęci? Anim ja myślał wtedy o tym głupim i powszednim świecie, który tacza się w modnych powozach po bruku i szuka świeżych kosmetyków po magazynach! Ocierałem się o te nudne figury codziennie, błoto ich kół często mi bryzgało na płaszcz; a ja byłem dumny mojem szczęściem i żałowałem ich w duchu, że nie mogli pojmować moich rozkoszy umysłowych! I duma ta nie była owa brudna namiętność, którą wyhodował paryzki proletaryat, ale pełna powagi i spokoju, pełna wiary, gotowa do ofiar, skoro zażądano w imię braterstwa i cnoty.

Z takiem usposobieniem przeszedłem trzy kursa literackiego fakultetu, gdy zdawszy egzamen z ostatniego, ze stopniem kandyta wracałem wesół i szczęśliwy, z kolegami do mojego mieszkania. Późno już po dwunastej opuścili mię moi towarzysze. Chodziłem samotny po pokoju i pierwszy raz w życiu zrobiłem sobie pytanie co będę robił dalej? Życie moje przechodziło dotąd w sferze tak czysto umysłowej, iż anim wiedział o nim, anim się zastanowił, iż kiedyś trzeba będzie zostawić te piękne kraje nauki i ducha i zstąpić na ziemię, ażeby pracować na kawałek chleba, pracować do grobu! Marzenia moje owczesne, jeślibym szczerze przyznał się z nich przed wami, były nader śmieszne. Świat wyobrażałem sobie po swojemu, i sadowiłem w nim moją j a ź ń jak najdogodniej; nie było dla mnie ani przeszkód, ani zmartwień, ani obłudy: wszędzie cnota, wiara, współczucie, słowem raj ziemski! Mój Boże! jakże wielkie było ze mnie dziecko! Rozumiałem Platona, Hegla; czytałem w oryginale Homera, Szekspira i Danta, a nie umiałem abecadła z praktycznego naszego na tym padole życia! Co to jest ten nasz świat praktyczny? — pytałem siebie nieraz, nim mi się dobrze nalał w uszy, i nie umiałem odpowiedzieć! Wyobraźcie sobie rozkwitły krzak kamelii czy dalii, który wzrósł w cieplarni i rozwinął pełne bukiety kwiatu, i tak jak jest piękny, kwitnący, postawcie go w październiku pod mglistem niebem jesieni, i śledźcie co się z nim dziać będzie? Pierwsza mroźna noc zwarzy rozwinięte jego kielichy, zwiną się one, stracą blask pierwotny i opadną; wiatry chło-

dne pozrywają listki jeden po drugim, zamknie się wegetacya, sparaliżuje roślinność, i oto po dniach kilku, z tego pięknego i aromatycznego krzewu pozostanie suchy ostrów badyli, na który mgła rzuca łzy rosy, ażeby płakał niemi!-... I ów krzew cudny, ów mieszkaniec jaśniejszego nieba, zginie niepowrotnie, gdy tuż obok ogromny krzew bodiaku ostoi się i burzom i śniegom!...

Biedni my doprawdy, z tem naszem życiem w krainie ideałów! Dla łokcia sukna, które nam potrzebne dla okrycia grzbietu, dla kawałka chleba, który podtrzymuje organizm, dla tych oto nędznych potrzeb, potrzeb najniższych, jakże często musimy pożegnać się nazawsze z poezyą, nauką, temi pięknemi córami krain wyższych!

Ale zostawiam narzekania a będę wam pisał o sobie. Po owym wieczorze zrobiłem tak samo, jak Leon Janiszewski po rozstaniu się z najmilszą kochanką:

Nie znajdując sposobu nędzne skończyć życie,
A chcąc przenieść się duszą za miłym obrazem;
Zrobił, co najlepszego mógł zrobić tym razem,
To jest: — wyspał się sowicie.

Nazajutrz ledwiem przetarł oczy, gdy wszedł pocztylion i list mi doręczył. Byłto list od mojego najukochańszego opiekuna, który pisał zawsze do mnie lokonicznie, bez wykrzykników, zapytań, kropeczek, jak ja wtedy nie pisałem do nikogo, nawet do kolegi, prosząc o pożyczenie na fajkę tytoniu; nakazując ażebym nająwszy krakowską brykę, niebawem przyjeżdżał do niego, dla zajęcia się własnym interesem. W końcu zaś dodał: „Zdaje się mój Józefku, że dosyć będzie tych nauk, bo będziesz umiał liczyć gwiazdy na niebie, a nie potrafisz utrzymać prowentowych regestrów. Na karku wisi co innego: twój ojciec zostawił cię jak narodził, bez żadnej wiadomości o swojem pochodzeniu, a tu potrzebują zapisania się do skazek i dowodów na szlachectwo. Zobligowałem ci ja wprawdzie niejakiego pana Szlachtorubskiego, ażeby się zajął wyszukaniem i zebraniem papierów; ale on mnie doi, a nic dotąd nie zrobił. Przyjeżdżaj więc i sam się weź do tego interesu, jeśli nie chcesz być jednodworcem.“

Pierwszyto raz w życiu przywilej rodu ugodził w miłość moją własną. Dziś wszystko, co się ze mną i innemi dzieje, nie ma w oczach moich nic nienaturalnego; ale natenczas z wrażenia jakie odebrałem, nie umiałem sobie zdać sprawy. Kwestya o arystokracyi drzymała jeszcze w naszem piśmiennictwie, nie budzona przez Bejlę; bałagulstwo, ile słyszałem, niebardzo starało się o poprawność rasy: więc i między nami nie było o tem mowy. Czy jestem chłop czy szlachcic, o tem nawet mój opiekun nie wiedział. A to pięknie! myślałem sobie. Cóż będzie jeśli się pokaże, iż mój ojciec był chłopem? I rozmarzona głowa zaraz mi natasowała tuzin przykładów z historyi o ludziach gminnego pochodzenia, a którzy jednakże tak wsławili się nauką i czynami, iż stanęli na najwyższych szczeblach społeczeństwa. Ale z drugiej strony przeczucie mówiło mi, iż nie tak muszą się pojmować te rzeczy, kiedy mój opiekun niepokoi się losem moim. Pożegnałem więc kolegów moich, wynająłem białą, ogromną budę, i ruszyłem w drogę. (C. d. n.)

NIEPOGODA.

Jakoś mi senno, smutno i nudno,
Na polach deszcz i mgły,
Kochać? boleśnie; zapomnieć? trudno,
A w sercu sny i sny! —

I nic nie widzę, światu ni ludzi,
Bo światem ja i ty!
I śnię szczęśliwy — ach sen mnie nudzi,
Na polach deszcz i mgły!

I patrzę w niebo — ni gwiazd ni słońca,
Ni w mojem oku łzy,
A wszędzie tuman i mgła bez końca,
I mgła, gdzie ja i ty!

Na pola zejdzie słoneczko z nieba,
A dla nas zawsze łza!
Kochać? niemożna, zapomnieć trzeba —
Na polach deszcz i mgła!

J. C. Z.

MOHORT.

(Ciąg dalszy).

Opis który tu następuje tej pierwszej młodzieńca z Mohortem wyprawy, zajmuje nie tyle poetycznem oddaniem, ile wielą dość ciekawemi szczegółami o życiu, służbie i drobnych przygodach żołnierzy, strzegących tych ostatnich dawnej Polski krańców. Równie też w tym opisie występuje nam widoczniej figura starego porucznika. Surowy ale poczciwy i dobroduszny staruszek, kocha najpierw Boga, potem ojczyznę, a z tej ojczyzny, której wszystkie kąty przez całe długie przewędrował życie, najlepiej ukochał Ukrainę, bo w niej najdłużej mieszkał, w niej się zestarzał, bo do życia czynnego i wolnego przyzwyczajonemu, najlepiej do serca przystawały szerokie i wolne stepy naddnieprzańskie. To też zna Mohort tę swoją Ukrainę doskonale, którędy tylko przejedzie, zna i liczy wszystkie mogiły, wszystkie wały i kopce graniczne, i rozpowiada przeszłość Ukrainy po tych okopach i kopcach, bo wie gdzie kto kiedy stawał, zwyciężał lub ginął. Każdy krzyż, każda krynica są mu znajome, ze wszystkiemi przylęgającemi do nich podaniami. A mimo wieku, jaki jeszcze dzielny, czego dowiódł młodzieńcowi, którego chcąc po swojemu ukarać za puste harcowanie koniem po błoniach, zaprosił go z sobą, by razem Dniepr na koniu przepłynąć. I stary nie tylko że

dziarsko przepłynął, ale nawet młodzieńcowi nieprzyzwyczajonemu do takiej wyprawy, pomógł, z niebezpieczeństwa wyratował. Obraz Mohorta skreślony z prawdziwie poetyczną prostotą, umieściliśmy już dawniej w Nowinach. Śliczny w nim jest ten rys starego wojaka, jak on po pacierzu wymienia z kolei wszystkich hetmanów i litewskich i koronnych i Wielkich i Polnych, i bitwy sławniejsze i fortece przez nich zdobyte, a gdy nazwał ostatniego Klemensa Branickiego, wzdychał starowina bo to ostatni!.. Dla starego wojaka hetmani i ich dzieje rycerskie były szczeblami po których przebiegał ojczystą historją.

Niedaleko od jego strażnicy był klasztor Bazylianów wielce miły Mohortowi, bo żył w przyjaźni z zakonnikami, i miał nawet w klasztorze własną celę a nawet jak głoszono, wielkie jakieś skarby gdzieś ukryte, miał też i własną tam a wielce dostatnią piwnicę. Dwa razy do roku dłużej przesiadywał w klasztorze: na własne imieniny które w dzień św. Szymona wraz z wielkim odpustem wypadały, i gdy rekolekcje odbywał w wielki post. Po krótkim opisie jak się te obie coroczne odbywały epoki, opisie gładkim, choć nie zbyt żywo skreślonym, wraca poeta do Mohorta, i następuje wsteczny rzut oka na przeszłość jego, mianowicie bliższą. Z tej przeszłości podnosi poeta stosunek jego z księciem Józefem Poniatowskim, który gdy przyjechał z Wiednia, gdzie cesarskim regimentem dowodził, bo się z Kińskiej rodził, miał w sobie coś cudzoziemskiego, co Polakom do smaku nie przypadało; król się tem biedził, trzeba więc to było zmienić koniecznie. Wezwano więc z rady pana Branickiego, naszego Mohorta, choć go król, równie jak i wszystkich na kresach Ukraińskich służących, nie lubił aby Księciu-Niemcowi jak go zwano wlał polskie zacięcie. Cały ten ustęp, pobyt Mohorta w Warszawie, łaski królewskie jakie nań spadają, przyjaźń jaką powziął ku niemu Książę-Niemiec, sercem najgorętszy Polak, nareszcie pożegnanie jego z księciem Józefem, gdy siadłszy już na konia zaśpiewał starą pieśń, którą zwykle dziękował za gościnne przyjęcie.

Czas do domu, czas,
Zabawili nas!

wszystko to opisane żywo i malowniczo, a z prostotą, bez wszelkiej przesady i pretensyi. Wstęp ten cały był już także w Nowinach drukowany.

W dalszym ustępie rapsodu, przybywa książe Józef na Ukrainę, gdzie objął dowództwo hufców narodowych. Nowe życie nastało za przybyciem księcia, bo wiele z nim przybyło świetnej młodzieży, a że książę był wielce grzeczny i uprzejmy dla płci pięknej, przyjeżdżały i piękne panie. Szły więc na przemiany i harce i zabawy rycerskie, karuzele, wiejskie tany, i małe przejazdki. Raz książę odwiedził starego porucznika w jego futorze, który zwał się Mohortowy, i który opisuje nam Poeta, a razem nowy rys charakterystyczny dodaje do opisu starego wojaka. Goście Mohorta zastali jak na roli zatknąwszy szablę swoją, sam szedł za pługiem, wołami ciągnionym. Daje mu to powód do powiedzenia:

Z czego człek powstał, o tem myśleć trzeba,
Ani hetmanom bez boga i chleba.

Jest to powiedzenie, rzekłszy nawiasem, które wygląda na coś ważnego, ale zastanowiwszy się nad niem, jest tylko pełne pretensyi, mianowicie w ustach Mohorta, a w rzeczy samej nic albo bardzo mało znaczy. Takich maxym niby, nasz poeta jest wielkim lubownikiem, i często zdybać się trzeba z podobnemi tak w Mohorcie, jak w innych utworach jego, sklniące zewnątrz, a próżne wewnątrz. Jeżeli o tem wspominamy to dla tego, że właśnie najprzykrzej uderzają przy stylu tego poety, prostotą właśnie do serca przemawiającym. Opis festynu jaki Mohort wyprawił na swoim futorze, do którego zaprosił i księdza rektora Bazylianów, wraz z winami, które w klasztorze chował, zajmuje kilka stronnic i jest jak wszystko inne tego autora gładko napisane, ale jest nieco za rozwlekłe, mianowicie dla tego, że przypomina koniecznie podobniuteńkie opisy przypadające tak często w innych poety utworach. Takież same niemal zwroty, taż sama maniera, polska zapewne, ale właśnie dla tego maniera, bo ściągająca się zawsze do tych samych drobnych, znanych nam, bo przypowiastkowych prawie, dawnych obyczajów. W opisach takich Wincentego Pola uderza przedwszystkiem brak rozmaitości. Podobają się nam z razu, bo nasze narodowe, ale z czasem znudzić muszą. Odznacza się wszakże wpośród tego opis stada Mohortowskiego. W opisie tym zajmuje głównie widoczna znajomość dawnych ras końskich, najsławniejszych w Polszcze, którą poeta czerpał z dobrego podania. Rzeczywiście dwie były rasy końskie główne: hetmańska i sułtańska. Jak się dowiadujemy z noty w końcu dołączonej, wiadomości te miał poeta od ś. p. Eustachego Sanguszki, pierwszego w tej mierze znawcy kraju naszego, w którego dobrach wołyńskich sławne po dziś dzień istnieje stado. Cały ten opis stada Mohortowskiego jest bardzo żywy, piękny; obrazki celujących klaczy i koni doskonale oddane.

Od koni przechodzą goście do pasieki, którą Mohort pokazuje księciu Józefowi i opowiada pierwszy początek tej pasieki, jak o nim wieść gminna niesie. Jest to obrazek dziwnie piękny, stanowi najpiękniejszy niemal ustęp całego rapsodu; napisany stylem rzeczy odpowiednim, wygląda jakby legenda, pełna żywej i prawdziwej wieści. Jest to tradycya, jak ją poeta od p. Ksawerego Krasickiego słyszał, odnosząca się do czasów hetmana Żołkiewskiego. Futor ten w którym mieszkał Mohort, zwał się Ulem żelaznym, i to z takiego zdarzenia:

Był mości książe hetman od różańca
Wielkiego herbu potężnej buławy,
I jasnej cnoty, i szerokiej sławy,
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca

Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co naród kochał, a królowi sprzyjał
A za ojczyznę siwą głowę złożył.

O nim owoż taka wieść stara chodzi, że gdy raz wojsko postawił na stepach, i sam całą noc na podsłuchach strawił, zmęczony gdy wrócił, usnął pod namiotem. Cicho było w koło niego, bo nikt niechciał przerwać snu hetmanowi. I słońce już było wysoko, gdy się hetman ocknął zbudzony brzęczeniem roju pszczół, który właśnie cały prawie upadł na namiot jego. Zbudzony wziął się do roju, zagiął rękawy, i jakby pasiecznik jaki zgarnął muchę, i w braku ula innego osadził ją w własnym pancerzu, a było tej muchy aż na dziewięć szyszaków.

Choć bez pancerza hetman wroga pobił.
A gdy w też miejsca znowu wojsko sprawił,
Stał ul żelazny jako go postawił,
A rój był pięknie już głowę zarobił.
«Więc dobra wróżba! pan hetman powiada
«Niechże dar boży w stepie nie przepada.

Cały więc ten jar kazał hetman poświęcić, usypał groblę, stawek wyprawił, ogrodził futor i okopał, i przywilejem oddał go na własność tym ludziom rycerskim co dobrze ojczyznie zasłużeni, granicom ojczyzny stróżyć będą. Tym sposobem dostał się ten futor naszemu Mohortowi. A odtąd roi się tam pszczoła co roku jak najlepiej:

I w tej pustyni od owej pamięci
Święty Onufry błogosławi wodzie
I co rok woda w tym zdroju się święci,
I słynie odtąd łaskami w narodzie.

Ul ów sławny, długo był chowany u księży Karmelitów w Berdyczowie, a potem przeniósł go król Jan do Żółkwi; pszczoła zaś wyszła z tego roju, dostała na zawsze nazwę pszczoły hetmańskiej. (C. d. n.)

SZKOŁA PODCHORĄŻYCH JAZDY.

(Ciąg dalszy)

Nieraz to podobne odzywały się w koszarach burze, które oczywiście nie wiele pomagały, bo podchorążowie młodzi i swawolni wnet coś nowego wymyślili i coś nowego zbroili.

Z tem wszystkiem szkoła była to dobra, i każdy z młodych, choć mruczał pod nosem, choć przeklinał w duszy, ćwiczył się i starał się jak najwięcej z tej szkoły skorzystać, bo się examin zbliżał. A examin to przecie nadzieja szlifów, których osiągnąć bez szkoły i popisu publicznego nie można było. Przy tym popisie zależało wszystko od okazanych zdolności, chociaż główniejszą niemal rolę odgrywał humor W. księcia. Podchorążowie umieli to odrazu poznać. Skoro bowiem Wielki książę pojawił się na swej ulubionej klaczce gniadej, wszyscy wiedzieli, że w dobrym jest humorze; przy każdym innym koniu, choć różny był stopień humoru, zawsze się przecie czegoś zżymał i niecierpliwił.

Toż samo i po pułkowniku Czarnomskim wymiarkowali, że siwy koń był dowodem dobrego, a kasztanowaty złego humoru. To też wesołe trzpioty konie obydwóch przezwali *Humorometrami*.

Popis ten czyli examin był dla podchorążych prawdziwie ważną uroczystością, już to dla wspomnianej już nadziei awansu, już to dla samej uroczystości, z jaką się odbywał w obec zgromadzonych: W. księcia i jego całej świty, z jenerałów i wyższych oficerów złożonej. Łatwo pojąć jakie to na nich, którzy stan wojskowy za zawód życia obrali, robiło wrażenie, gdy stanęło razem w paradzie cztery pułki jazdy. A przed frontem żaden nie stał z oficerów pułkowych, ani pułkownik, ani major, ani kapitanowie, ani też żaden z niższych oficerów. Od dowódzcy dywizyi zacząwszy, aż do komendanta plutonu, sami tylko podchorążowie mieli dowodzić wszelkiemi musztrami i manewrami, i to przed parterem widzów, złożonych z samego W. księcia i wszystkich zasłużonych jenerałów i wyższych oficerów. Wielki książę miał przy sobie podchorążego który miał komenderować dywizją; temu wydawał rozkazy, ten podawał je dalej i coraz dalej i dalej podchorążowie wykonywać je musieli z całą precyzją, do jakiej książę i sam był przyzwyczajony, i wszystkich swoich przyzwyczaił oficerów. To było nie lada zadanie, i najlepiej objawić mogło zdolności tych wszystkich przyszłych wyższych i niższych oficerów. Ale też co to było strachu! Nie u jednego dusza była na ramieniu, nie jednego zmoczyły poty zajęcze. Bo to i ambicja i nadzieja przyszłości, i bojaźń upadku były w grze.

Mimo tych wszystkich niedogodności, na jakie się w szkole młodzież skarżyła, każdy z tych który tam był, przyzna że się wesoło działo. Humor był zawsze dobry, mimo gradu piorunów sypiących się z ust pułkownika, i męczących ćwiczeń wojskowych. I nic dziwnego. Wszak to była młodzież w kwiecie wieku, a do tego młodzież polska, u której to zawsze było godłem: choć bieda to hoc! Przy każdej wolnej chwili były pogadanki żywe, humorystyczne, jak to u nas bywa, szpikowane oczywiście anegdotkami, czerpanemi z ich życia wojskowego. Piękny by to był zbiór anegdotek, gdyby dawni podchorążowie chcieli sobie poprzypominać i pospisywać te wszystkie owych czasów pocieszne wydarzenia, które bywały przedmiotem ich śmiechów, żartów, i poufnych pogadanek.

Jedno mianowicie zdarzenie, na te właśnie czasy przypadające, było przez długi czas przedmiotem niepospolitej wesołości, nietylko dla szkoły podchorążych, ale i dla całej Warszawy, która się wnet o niem dowiedziała.

Przy szkole podchorążych jazdy był porucznik z gwardyi kirasierów, Zieliński, zabity Litwin. Poczciwy był to człowiek, ale miał swoje śmieszności, do których należało głównie udawanie służbisty, przez wzgląd oczywiście na

pułkownika Czarnomskiego, któremu jako przełożonemu chciał się podobać.

Razu tedy jednego siedział sobie pan porucznik po obiedzie przed własną kwaterą, w zupełnym negliżu, z fajeczką w ustach. Dla zabawy kazał sobie wyprowadzić konia swego; a był to kary, piękny i żywy jak iskra ogier. Wyprowadzono go osiodłanego, bo pan porucznik miał później wyjechać na przechadzkę.

W tem pojawia się na dziedzińcu mnich, kwestarz z klasztoru Franciszkanów. Jak na kwestarza przystało, zbliża się w pokornej postawie, pobrzękując blaszaną puszką, i pokornemi słowy prosi o jałmużnę dla klasztoru.

Porucznik który lubił sobie pożartować, i miał się za dowcipnego, czy dla facecyi, czy żeby gładkim sposobem pozbyć się kwestarza, ozwał się do niego:

— Słuchaj braciszku! wsiądź na tego konia, a ja ci go daruję do konwentu.

Kwestarz, starowina już, uśmiechnął się na to dobrodusznie i odrzekł:

— Żartuje sobie pan porucznik łaskawie; ja mnich, kwestarz; gdzie mnie tam do konia. On by mnie rozbił, i rozniósł stare kości moje. Ot lepiej niech pan ofiaruje co dla miłości boskiej do puszki, to będzie miło i panu Bogu i pożytecznie dla konwentu.

— Nie braciszku! nic nie pomoże; albo siadaj na konia i weź go sobie, albo nic nie dam, i idź z panem Bogiem.

A mnich na to westchnął i oczy pobożnie wzniósł do góry:

— Pan Bóg więcej cierpiał, i dał się umęczyć dla ludzkości; czemużbym ja biedny sługa boży nie miał zrobić z siebie ofiary. Ale czy tylko pan porucznik dotrzyma słowa, i da mi konia?

— Aie dam, dam! daję ci słowo honoru. Siądź tylko na karego i przejedź się na nim, odpowiedział porucznik, i rad z własnego konceptu serdecznie śmiać się zaczął.

Kwestarz rad nie rad zbliża się tedy do konia, ale zdaleka, ostrożnie, niezgrabnie, z widocznym strachem. Koń nieprzyzwyczajony do długiej mnicha sukni, przestraszony habitem, zaczął oczywiście wykręcać się, spinać, i parskać, co zwiększało jeszcze niezgrabność i przestrach kwestarza. Porucznik aż się kładł od śmiechu.

Kwestarz tymczasem ciągle się zbliża do konia, ostrożnie, ale coraz śmielej przecie. Nagle porwał konia za cugle i grzywę, śmiało pogłaskał go, zakasał habit, puszkę schował za pazuchę, nogę wsadził w strzemię, i już siedział na koniu. Koń z początku nie wiedział co się z nim stało, chciał dokazywać, lecz mnich zebrał go cuglami w kupę, wyciął na dziedzińcu kilka łansad i wolt parę i zgrabnie skłoniwszy się zgłupiałemu porucznikowi:

— Dziękuję za konia w imieniu klasztoru! wyrzekł i pomknął przez bramę wprost do klasztoru.

Wszystko to tak się prędko odbyło, że porucznik nie miał nawet czasu opamiętać się, a gdy przyszedł do siebie, wybiegł za bramę krzycząc:

— Łapaj! chwytaj! trzymaj!

Lecz już nie było kogo łapać, chwytać i trzymać; i koń i mnich wichrem znikli mu z przed oczów.

Biedny porucznik nie wiedział co tu począć, bo i konia żal, i co gorzej wstyd oczywisty, że mnich z niego zażartował. Gdy tak rozmyśla, przychodzi jakiś człowiek na dziedziniec z siodłem i musztukiem w ręku. Oddaje mu to wraz z podziękowaniem konwentu za konia, i prosi o uzdziennicę.

— Dobrze! dobrze! odfuknął porucznik. Idź sobie do stu djabłów; ja tam przyjdę sam do klasztoru.

Jakoż w rzeczy samej poszedł do klasztoru, i by konia odebrać, zapłacił podobno 100 rubli za tę nieudatną facecję. Pokazało się że ów braciszek kwestarz był dawniej ułanem przy gwardyi napoleońskiej, przyzwyczajonym ongi do ujeżdżania najdzikszych koni.

Wnet dowiedziało się całe miasto o tem zdarzeniu, i oczywiście naśmiało się sowicie kosztem biednego porucznika. Wielki książę także uśmiał się serdecznie. Wkrótce potem pojawiła się karykatura litografowana, przedstawiająca mnicha z puszką w ręku, pomykającego na koniu, a za nim goni piechotą oficer bez munduru, z fajką w ręku. Karykatura była zabawna, ale nie pozwolono jej przedawać, i zabrano wszystkie exemplarze.

Aby uzupełnić o ile można ten obrazek, jaki tu dajemy czytelnikom naszym o szkole podchorążych jazdy, powiemy jeszcze kilka słów o ostatnim dniu istnienia tej szkoły. Głównie zaś dla tego o dniu tem wspomnieć choć pobieżnie chcemy, że w onym czasie zarzucano szkole podchorążych jazdy, jako zamiast łączyć się zaraz z wojskiem polskiem, poszli za wielkim księciem aż za rogatki miasta, i wrócili do miasta dopiero, gdy tak im, jak i innym pułkom W. książę do swoich powrócić pozwolił; do czego to tylko nawiasowo dodamy, że pozwolenie to było czysto formalne, bo czyby był pozwolił, czy nie, wszyscy byliby wrócili do Warszawy.

Zarzut taki zastósowany w ogóle do wojska jest zawsze niesprawiedliwy, bo wojsko każde stoi porządkiem i karnością, i smutną byłoby rzeczą, gdyby przy każdym ruchu w mieście czy kraju, wojsko wymawiało posłuszeństwo przełożonym swoim. Owoż i dnia owego nie można zarzucić podchorążym jazdy, że poszli tam, gdzie ich pułkownik poprowadził. Chociaż i tak nie wszyscy poszli, bo szczegółowo połowa prawie podchorążych została w Warszawie, wymykając się po jednemu ze szkoły na wieść pierwszą, co się w mieście dzieje.

Że się coś w kraju przygotowuje, wiedziano w koszarach podchorążych jazdy, tak jak w ogóle wieść o bliskim ruchu biegała po mieście. Ale była to wieść niepewna, głucha której wierzyli i nie wierzyli młodzi podchorążowie, tem więcej, że w ostatnich dniach było niby kilka naznaczonych terminów owej nocy, które wszystkie przeszły najspokojniej. Owoż gdy dano w koszarach sygnał alarmu, żaden z podchorążych nie wiedział z pewnością powodu tego alarmu. Gdy więc zakrzyczano na koń, zwykłym porządkiem pobiegli wszyscy do stajen po konie i zaczęli się zbierać na dziedzińcu w szwadron. W tej dopiero chwili rozniesła się pomiędzy nimi wieść, co w Warszawie stało się, że Belweder wzięty i t. d. Nikt z nich nie wiedział zkąd ta wiadomość nadeszła, i stojąc w szeregu, trudno było radzić między sobą co w takiej chwili czynić wypada; stali więc wszyscy, ale bez zwykłego w szeregu porządku. Znać bowiem już było jakiś między młodzieżą niepokój, i niektórym w tej chwili udało się wymknąć z koszar do miasta. Oficer służbowy posłał tymczasem podchorążego Falęckiego z kilku innemi w miasto, aby się dowiedzieli o przyczynie alarmu, jakoż wyciągniętym galopem wkrótce wrócili, przywitani kulkami na zamkowym placu, i donieśli, że po ulicach bój rozpoczął się na piękne.

— Do frontu panowie! stać! równać się! zawołał kapitan; w tej chwili pojawił się pułkownik.

— Milion! zaczął, splunął i urwał, patrząc na front szwadronu, nie tak jak zawsze wyciągnięty, ale połamany i słysząc ciągły szmer w szeregu.

— Cóż to panowie, dodał zwrócony do oficerów. Jeszcze się szwadron nie zebrał. Już półgodziny jak trąbiono na koń, a ja tu ledwie pół szwadronu widzę.

Kapitan pobiegł do stajni by nakazać pośpiech, lecz nie zastawszy już tam nikogo, zaraportował pułkownikowi.

— Musieli korzystając z ciemności, mówił on, wymknąć się do miasta, ale ja nakażę wachmistrzowi, aby wszystkich spisał jutro.

— Jutro! powtórzył pułkownik szyderczo. Jutro nie będzie czasu robić porządku. Dziś trzeba było lepiej pilnować! Stać tam przy bramie, aby żywego ducha niewypuścić.

(D. n.)

Rozmaitość.

Z nad ujścia Wisłoki, w marcu. Jak już przedtem donosiłem, karnawału u nas zupełnie nie obchodzono. Dla tego też środa popielcowa oprócz zmienienia rosołu na żur, a cielęcej pieczeni na śledzia w naszem jednostajnem życiu nie przyniosła żadnej zmiany.

W Rzeszowskim bawiono się lepiej. Prócz balów i wieczorków w domach prywatnych, w miasteczku R... był także bal w rodzaju pikniku czyli składkowym. Miał to być jakiś bal Fusion ale albo na te Fusią nie było przepustki, lub też ta fusia wyszła z jakiejś pośledniejszej fabryki, bo zupełnie nie trafiła do celu. Chciano bowiem fusią rozciągnąć do połączenia różnych wyznań religijnych i z tego podobno powodu zamiast fuzii zrobiła się konfuzia.

U nas gdyby nawet była ochota i środki do zabaw, to radbym wiedział jak tu się bawić kiedy kawalera w całej okolicy ze świecą szukać trzeba. Nie idzie tu o to, żeby koniecznie kawalery mieli być zabawnymi, bo znam takich których zupełnie o to posądzić nie można, ale tu idzie o kawalerów starających się. Ale to już podobno ten towar wszędzie poszedł w górę, bo nawet „starający się kawaler" któren w odcinku Czasu nam się na chwilę pokazał, musiał się zapewne już ożenić, bo jakoś słuch o nim zaginął, a szkoda, bo pewnie byśmy woleli go widzieć, jak uczyć się statystyki lasów i borów (co należałoby umieszczać w pismach gospodarskich) albo też odczytywać sprawozdania o towarzystwach agronomicznych które tak w Tygodniku gospodarczo-przemysłowym, jak w Rozprawach lwowskich jużeśmy dawno czytali, lub też nakoniec śmiać się z *wybornych* anegdot o pannach, które młodzież przyjmują, jakiemi nas grubą tajemnicą okryty Anonim w Tygodniku warszawskim częstuje.

Ale dość o odcinku, bo odcinek gotów się odciąć, przejdźmy zatem do nowin miejscowych.

W przeszłym miesiącu w niedaleko od nas położonym Mokrzynowie, dobrach niegdyś królewskich, a teraz do pana Szindlera należących odbyło się wielkie polowanie które Jego Excel. JO. książę Schwarzenberg i JW. hrabia Szlik swoją bytnością zaszczycić raczyli; przez dwa dni ubito 35 sarn, z których najwięcej było rogaczy.

Właśnie dziś rok jak doniosłem o wylewie wody z przyczyny zatoru na Wisłoce. Dziś toż samo niestety donieść muszę, bo znowu lody z Wisłoki wstrzymane przez zamarzniętą Wisłę zator utworzyły i woda zalała okoliczne wioski. Gałusznica, pół Kliszowa, Wola Zdakowska, Ostrówek, Ujście Glinki i Borowa stoją dotąd pod wodą. Mało co domów wolnych od wody zostało, ludzie na dachy poddasza się schronili. Klęska ta tak często się powtarzająca musi zniszczyć do reszty mieszkańców tej okolicy, bo skutki takiego wylewu dopiero później się dają ocenić. Spóźnienie siewu wiośnianego, namnożenie się mnóstwa chwastów które oziminy i wiośniane siewy przygłuszają, wszystko to w już i tak nieurodzajnych latach, coraz bardziej do nędzy się przyczynia, a do tego podobna kąpiel lodowa wśród mrozów, nawet metodzie Prisnica się sprzeciwia i szkodliwy wpływ na zdrowie człowieka wywiera. Dla tego też to może w mojej parafii kiedyś w kośnicy dwudziestu umarłych razem leżało. Ludność w innych krajach tak się powiększająca, u nas zupełnie inny pokazuje rachunek. Wykazy kościelne przekonują że od kilku lat stosunek umarłych do urodzonych jest tu najniekorzystniejszy. Są parafie w których dwa razy więcej umarło niż się urodziło.

Ciekawym czy korespondent z pod Brodów, któren do „Czasu" pisuje, nieznajdzie na to pociechy lub rady, bo aby uniknąć głodu i drożyzny, znalazł on środek niezawodny, pewniejszy jak plasterki na odciski albo pomady, po których nawet na dłoni włosy mają rosnąć, tylko że jego środek bardzo homeopatyą trąci. Radzi bowiem aby uniknąć drożyzny zboża, o $\frac{2}{3}$ części mniej zasiewać!

W skutek tej metody obiecuje nam złote góry, namawia żeby jeść jak najwięcej mięsa. Przypominam mu jednak że mięso bez chleba bardzo zdrowiu szkodzi, i czytałem w jakiejś kronice, że kiedy za któregoś króla polskiego w obozie chleba brakło i wojsko samem mięsem się żywiło, bo tego pod dostatkiem miało, wkradła się do obozu biegunka która połowę tego wojska zabrała. Cóż by było jak by cały kraj mięso bez chleba jadał, toby gorsze było jak wielkie wylewy wody. Czytając te rozprawy domyślam się że korespondent musi mieć dobre serce i chce jak bądź pocieszyć nas. Przypomina on mnie następującą anegdotę.

Kiedy razu jednego więzniowi przeczytano wyrok na lat dwadzieścia więzienia domyśleć się łatwo że to skazany nie bardzo obojętnie przyjął. Otóż pewien jegomość ulitowawszy się nad nim chciał go pocieszyć i powiedział: „Niech pan się nie martwi, dwadzieścia lat to nic. Ja znam p. M. któren dwadzieścia lat w więzieniu odsiedział, a teraz jeszcze mazura tańcuje“

Otóż korespondent z pod Brodów do takiego mazura nas zaprasza.

Od tygodnia już nie mamy żadnej poczty. Niewiem czyja w tem wina, czy poczty mieleckiej, czy też w Radomyślu, ale to wiem że to bardzo nie miło w tak ciekawych czasach, a kupcy i spekulanci a nawet ci co na loterją stawiają, z podobnego nieporządku mogą ponieść znaczne bardzo straty.

Przyjechali od dnia 17. do 20. Marca do Lwowa.

PP. Wiśniewski Wiktor, ze Strzelisk. Laskowski Maksymilian, z Lipnik. Bogdanowicz Maksymilian, z Gródka. Papara Henryk, ze Zubowych mostów. Komorowski Edward, hr. ze Stanisławowa. Badeni Władysław, hr. ze Surochowa.

PP. Czajkowuki Hipolit. z Dydiatycz. Gumowski Hieronim, z Przemyśla. Starzewski Ignacy, z Chlebowic swierskich. Krajewski Nikazy, z Turzego. Mysłowski Józef, ze Dzwiniacza. Skarzyński Michał, z Budzanowa. Kieszkowski Józef, z Hrusiatycz.

PP. Janiszewski Juliusz, ze Stryja. Nowosielski Ignacy, z Czyżowic. Mier Feliks, hr. z Buska. Żamojski Adam, hr. z Ohładowa. Wojakowski Kornel, z Lipicy górnej.

Wyjechali od dnia 17. do 20. Marca ze Lwowa:

PP. Pietruski Konstanty, do Rudy. Chojecki Zygmunt, do Kołodziejówki. Borkowski Leon i Seweryn, hr. do Kopyczyniec. Younga Władysław i Antoni, do Dynowa. Skrzyszewski Antoni, do Dynowa.

PP. Skrzyszewski Erazm, do Horożany. Dobelt Konstanty, do Śarnik górnych. Wojnarowski Antoni, do Podhajec. Komorowski Antoni, hr. do Zborowa. Obertyński Leopold, do Stronibab. Kielanowski Tytus, do Zelechowa.

PP. Papara Henryk, do Zubowych mostów. Czermiński Ludwik, do Żółkwi. Dobrzański Julian, do Milatyna. Gottleb Feliks, do Dołhomościsk. Bal Franciszek, do Tuligłów. Listowski Józef, do Jasinowa, Wiktor Tadeusz, do Rohatyna. Strzelecki Eugieniusz, do Mikołajowa.

Lwów, 19. Marca. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 34 złr. 35 kr. do 35 złr. — kr. — Żyta po 25 złr. 30 kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr Owsa po 17 złr. 30 kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr do 35 złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. 15 kr.— Ziemniaków po 11 złr.— do 12 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 40 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 32 złr. w.w. Cetnar siana 5 złr. — kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr. 30 kr. do 3 złr. 20 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 15 kr. do 4 złr. 22 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	126 1/8	Pożyczka 5%	82 3/8 4 1/2 —
Hamburg za 100 tal. banco	93 1/4	Akcye banku	1014
Londyn za 1 funt szterl.,	12 17	Kolej północna	1037 1/2
Medyolan za 300 lirów	125 1/4	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	147 1/2	Nowa pożyczka z loteryą	105 1/16
Agio duk. ces.	31 1/8	Pożyczka narodowa . .	86 1/8

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	47	złr.	5	kr.	51
Dukat cesarski	«	5	»	52	»	5	«	56
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	6	»	10	«	10
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	57	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	24	»	1	«	25
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	40	»	94	«	10
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		74	»	30	»	74	»	—
5 proc. pożyczka narodowa		85	»	30	»	86	«	30

Do dzisiejszego Numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**